

## Stefania Podhorska-Okolów – *Od starożytnej Pompei do Warszawy pruskiej*

Twórczość”,  
nr 1 z 1957 r.

Zacznę od małej wycieczki wstecz. Ludzie starszego pokolenia jako dzieci rozczytywali się w powieści Bulwera *Ostatnie dni Pompei*, biorąc za dobrą monetę wszystko, co tam o życiu w rzymskim mieście wypisywał angielski autor. Mały wówczas Włodek Zambrzycki również chłonał tę ckliwą i pełną sztucznego patosu lekturę. Ale coś mu tam nie grało. Więc kiedy był już dorosły, postanowił skonfrontować lekturę z czasów młodzieńczych z realiami historycznymi. Wybrał się do Neapolu, zamieszkał w pobliskim Castellamare, wyjednał sobie w dyrekcji muzeów neapolitańskich przepustkę, zezwalającą na przebywanie wśród wykopalisk w dowolnych godzinach, i w ciągu sześciu tygodni całe dni spędzał sam na sam z ruinami na drobiazgowych studiach.

Powstała z tego urocza i jedna z najbardziej oryginalnych książek literatury światowej, *Nasza Pani Radosna*. Autor zerwał w niej z dotychczasowym schematem powieści, osnutych na tle antyku, w których malowano zawsze wielki świat patrycjatu, senatorów, wodzów. Postanowił odkłamać go, patrząc na niego nie z góry, ale z dołu, oczami czterech kombatantów pierwszej wojny światowej, którzy po zażyciu narkotyku z kaktusa meksykańskiego budzą się w Pompei na krótko przed jej wiekopomną katastrofą i do środowiska drobnych mieszczan, rzemieślników, kramarzy, oberżystów i obieżyświatów wnoszą swoje nowoczesne i na wskroś „obozowe” kategorie postępowania.

Dodajmy, że powieść ukazała się w r. 1931, czyli na dwadzieścia kilka lat przed parodystycznym amerykańskim filmem o Neronie, który zresztą przewyższa autentyzmem szczegółów, finezją koncepcji i krótkimi spięciami humoru, zrodzonymi z konfrontacji dwóch epok, dwóch kultur.

Zdawałoby się, że książka o tak rewelacyjnej i rewolucyjnej postawie artystycznej powinna wywołać zrozumiałą sensację w świecie literackim. Owszem, wywołała, ale gniew i oburzenie na autora, i to z rozmaitych stron, za to, że ośmielił się odbrać wiele uświęconych przez tradycję relikwów. Tylko jeden Pini poznał się na jej wartościach artystycznych. Obecnie doczekała się zasłużonego renesansu. Ma się ukazać niebawem w nowym wydaniu. Niezależnie od tego znaleźli się ludzie, którzy chcą ją filmować.

W ostatnich miesiącach Zambrzycki zabłysnął nowym utworem. Jest nim *Pamiętnik Filipka*.

O Warszawie na przełomie w. XVIII i XIX, o Warszawie, stolicy Prus południowych, poza Przyborowskim (*Prusacy w Warszawie*) i Krausharem (*Burboni na wygnaniu w Warszawie i Mitawie*), nikt zdaje się u nas nie pisał. Z tego smutnego okresu pozostały tylko anegdoty o rządach pani Vauban w Pałacu pod Blachą i o pijackiej kompanii księcia Józefa, która wyżywała się w hulankach i burdach ulicznych, a może po prostu zagłuszała wewnętrzne rozdarcie po stracie ojczyzny.

Tę niewyraźną kartę w dziejach Warszawy Zambrzycki postanowił odczytać oczami plebejusza miejskiego, przysłowiowego „próżniaka spod kolumny Zygmunta”, sprytnego wyjadacza i totumfackiego przekupek spod Krakowskiej Bramy, pocztylionów z Poczty Saskiej, nalepiaczy afiszów teatralnych i rozporządzeń władz pruskich, szewców i murarzy staromiejskich, popularnych lekarzy i uczonych. Taki warszawski Figaro na małą skalę, naiwniejszy od tamtego i bardziej dobroduszny, swojski „chłopek-roztropek”.

Pomiędzy nim a autorem książki nastąpił konsekwentny podział pracy. Zambrzycki ryje się jak kret w próchnicy archiwaliów, pamiętników, ulotek, kalendarzy, książek lekarskich, późniejszych opracowań i szkiców historycznych, a Filipek wszystko to skrzętnie notuje, podlewając obficie sosem własnej inwencji. Tak powstała swoista *silva rerum*, stos bezładnych, zdawałoby się, kartek, mozaika autentycznych faktów, legend, plotek, przesądów, taki reportaż-*monstre*, z którego wyłania się oblicze ówczesnej Warszawy, jakże bardzo egzotyczne dla dzisiejszego czytelnika.

Fikcja autorska jest aż nadto przejrzysta. Filipek wszystkich zna i wszędzie go pełno. Nie było to trudne w owych czasach, gdy Warszawa miała wszystkiego 58 tysięcy mieszkańców, a całe jej życie koncentrowało się między Krakowską Bramą a Marywilem. Stojąc na swoim stanowisku pod kolumną, Filipek widzi, jak na balkonie nieistniejącej dziś kamienicy Wasilewskiego hr. de Lille (w istocie niekoronowany król francuski Ludwik XVIII, który z całą rzeszą emigrantów schronił się do Warszawy) przestępuje z nogi na nogę, co dla ludu warszawskiego jest nieomylną przepowiednią deszczu; jak gromada chłopiat ugania się za doktorem Dubois, zwanym Dzibułą, który poważnie kroczy przez miasto w długim do ziemi płaszczu, w olbrzymiej peruce z końskich ogonów, „niosąc pod pachą miedzianą sikawkę do robienia tylnej medycyny”, istny doktor Purgeon z Molierowskiego *Chorego z urojenia*.

Filipek ma znajomych i z ówczesnego świata intelektualnego Warszawy. Dostarcza panu Lindemu wiadomości, kto przyjechał na Saską Poczta do stolicy, aby przybyszowi zanieść prospekt *Słownika języka polskiego*. Pijarowi Onufremu Kopczyńskiemu sprząta izbę pełną książek. Panu Magierowi znosi plotki miejskie. Zna i Amadeusza Hoffmanna, podobnego do diabła, poetę, muzyka i malarza, który w Kamerze pruskiej Żydom nadaje nazwiska. Roznosi po domach „Nowy pamiętnik warszawski” pana Dmochowskiego, pomaga słynnemu drukarzowi Gröllowi w przeprowadzce z Marywilu na Krzywe Koło, zna księgarnie: Gaya na Senatorskiej, Gecla na Mariensztacie, Pfaffa na Marywilu.

Ale ludek warszawski najchętniej kupuje osiemnastowieczne książki nabożne i medyczne, drukowane u księży bazylianów w Supraślu. Dziwnie, a chwilami przestraszająco, wygląda ten schyłek wieku Oświecenia od podszewki, od kuchennych schodów. Warszawa aż kipi cudami. Hr. de Lille położeniem rąk uleczył z trądu małego Francuza, który przyjechał po to aż „z Pułtuskiej krainy” (z Poitou). W dworku przy Nowym Świecie pan Benedykt Wolski zniósł jajko w krzakach malin. Włosy powstają na głowie przy opisie kuracji, jakiej poddaje się chorych na słabości sekretne w szpitalu św. Łazarza przy ul. Mostowej. Barbarzyństwo i mroki średniowiecza panują jeszcze w dołach Warszawy.

Ale ileż w tych dołach kipi sił witalnych! Ileż patriotyzmu w tym ludzie warszawskim, zawsze skorym do bitki, gotowym do powstania, w jego pogardzie dla najeźdźcy, którego już wówczas nazywa „tymczasowym” i kłuje zatrutymi szpilkami humoru, tej niepokonanej reduty wolności.

Ciekawy jest język, jakim Filipek spisał swoje wspomnienia. Nie jest to gwara chłopska: Filipek nigdzie nie mazurzy. Nie jest to jednocześnie język warstw ukształconych, jakim przemawiał do swych czytelników Cyprian Godebski w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych”. Jest to język prosty, chwilami prostaczy, niewątpliwie kształcony na wydawnictwach bazylianów w Supraślu. Charakterystyczny jest sposób polszczenia przez Filipika nazwisk francuskich. Cauchois to Koszula, Hautefort – Otwór, Lacroix – Lakruła itp. Ale nie dziwny się niczemu, skoro jeszcze po stu blisko latach chłopci w Świdrze nazywali malarza Andriollego – „Jędrulą”.

Przygody Filipka nie stanowią jedynej więzi fabularnej jego pamiętników. Z pstrej plątaniny anegdot wyłaniają się uboczne wątki niepozbawione swoistego, czasem melancholijnego wdzięku, jak wątek oberżysty francuskiego Coulona, Kroata Kenera, co ukradł oficerowi pruskiemu ślicznego arabczyka z polskiej stadniny, nie dla siebie, ale dla księcia Józefa, żeby go dosiadł, kiedy wybije godzina wolności, marginesowy wątek „Wobanki”, dyskretny, ale jakże wymowny wątek księcia Józefa, wreszcie żalosna idylla pięknej panny Czarnowskiej, co mieszkała w dworku staruszka Bacciarellego za Ujazdowem, ucząc się „kunsztu malarskiego”, tańczyła szumkę z księciem Józefem w sali tańca na Foksalu przy muzyce czeskich harfiarek, za każdy list, przysłany jej od księcia, dawała Filipkowi „konfekt słodki czokoladowy” i zginęła od zabłąkanej kuli wrażej w chwili odwrotu Prusaków z Warszawy.

Rembrandtowskim obrazem palenia mostu na Wiśle przez uchodzących Prusaków kończy się pamiętnik Filipka, ale nie kończą się jego dzieje. Nieodrodny syn Warszawy, sprawiwszy sobie mocne buty, ruszył, jak wielu innych Filipków, Jaśków i Bartoszków, pod sztandary Dąbrowskiego, którego mazurka słuchał na rynku staromiejskim w wykonaniu wędrownego muzykusa. Odchodząc, zostawił swój pamiętnik ks. Onufremu Kopczyńskiemu z listem i z życzeniem: „oby stało się to, czegośmy sobie w skrytości życzyli”. Nieco niżej ktoś postawił krzyżyk i dopisał: „Berezyna A.D. 1812”.

Ciężko nam się rozstać z Filipkiem. Może by autor w nowym tomie opowiedział nam jego słowami o dalszych przygodach Filipka pod orłami Napoleona. *Filipek w Hiszpanii* miałby niewątpliwie nie mniejsze powodzenie od Filipka „spod kolumny”...